ROZMAITOŚCI.

Dnia 2. Września — Nr 35. — Roku 1843.

ODWAŻNA WYBAWCZYNI.

Byłoto w trzecim dziesiątku drugiéj połowy ośmnastego wieku. Nad brzegiem atlantyckiego morza, siedziały dwie kobiéty, za niemi w niejakiem oddaleniu widać było kilku Indyjanów i Indyjanek, jako ich orszak. Jedna z tych kobiét, była już w porze dojrzałego wieku, druga zdawała się być jeszcze prawie dziecięciem, jednakże przypatrzywszy się jéj postaci z-blizka, nie można było w niéj niepoznać młodéj, dorosłéj dziewczyny. Rysy jéj świéżéj, gładkiéj twarzy umilały się wdziękiem, strumień jéj czarnych włosów spadał na ramiona w bujnych pierścieniach. Biała, muszlinowa suknia ujęta w pasie czarną wstążką, tém wydatniéj okazywała jej kibić kształtną. Starsza wiekiem, wpatrywała się smutno w ruchliwą grę fal morskich, które u jéj stóp szumiąc, w pianę się zamieniały; obwódką łzawych pereł okryła się jéj powieka.

»Cóżci jest matko? Może cię mimo myśli mojéj rozgniewałam? Widzę łzy w twoich oczach? O, powiédz ich przyczynę twojéj córce!« rzekła dziéwczyna zarzucając pieściwe ramiona około szyi matki, i okrywając jéj ręce pocałunkami.

»Nie, moja Józefino, tyś mnie nie rozgniewała«, odrzekła pani Pagerie, tłumiąc łzy, które się jéj do oczu cisnęły. »Ale ten widok ogromnego morza, stawi mi smutne obrazy rozstanku!«

»Jako? matko, czy jeszcześ nie przestała myślić o wysłaniu mię do Francyi? Chceszże rzucić twoje dziécię w nieznaną, obcą ziemię?« zawołała Józefina z żalem, od którego jéj serce pękało.

Matka milczała, łzy płynące po jéj jagodach, były całą odpowiedzią. Józefina śledząc w spojrzeniu matki łaskawego dla siebie wyroku, przemówiła z całym ogniem młodéj duszy: »Cóżem ci zawiniła? Czemużto skazujesz swoję córkę, aby nie oglądała rodzicielskiego oblicza? Jam waszém jedynem dziécięciem. Maryja rozstała się z wami na wieki! Chcecie mojego losu? A czémże jest los bez szczęścia? Mogęż ja być szczęśliwą w oddaleniu od ojczyzny, w oddaleniu od drogich rodziców! O, matko przemów do twojéj Józefiny. Od kilku już tygodni ukrywasz przedemną swój smutek; nawet ojciec, który mnie tyle kocha, biorąc mnie w swe ramiona, łzami skrapia moje lice. Oboje macie jakiś zamiar, a ten się mnie tyczy! O, mów matko, twoje milczenie jest dla mnie zabijające!«

»Najdroższe dziécię!« odrzekła pani Pagerie z wyrazem najtkliwszéj czułości i najgłębszéj zarazem boleści. »I my równie jak i ty, jesteśmy nieszczęśliwi; masz daleką podróż przed sobą, morze rozdzieli nas na długo, na długo!«

»O, moje wieszcze przeczucie!« zawołała Józefina zaléwając się łzami. »Rozstać się z wami, porzucić swoję ojczyznę—o, pękaj z żalu serce moje!«

»Uspokój się moje dziécię, my chcemy twego szczęścia, to nas zmusza rozstać się z tobą!«

»O, nie, nie! rola mego życia zakończy się nieszczęściem!« odrzekła Józefina proroczym głosem.

»Bądź dobréj myśli, świetna czeka cię przyszłość. Twoja ciotka pragnie tych zaszczytnych związków. Idąc za wolą ojca, dasz dowód tkliwéj ku nam miłości, a Bóg ci błogosławić będzie. W Europie rozświeci

się twoja gwiazda, na krótki czas rozłączeni, obaczymy się znowu. O, dziécię moje, uzbrój się w męztwo i dodaj twojéj matce odwagi, aby zdołała znieść męczarnie tego rozstania!«

Dom rodziców Józefiny, który aż do téj chwili znał tylko radość i pokój, zamienił się w dom smutku. Wybiła nareszcie godzina rozstania. Okręt stał już w pogotowiu, wszystkie rzeczy Józefiny zaniesiono już na pokład okrętu, jéj wierna przyjaciółka pani B., miała jéj towarzyszyć w podróży. Już po raz trzeci zawiadomił kapitan, że okręt żagle rozwinie, a Józefina nie mogła się jeszcze oderwać od boku rodziców. Matka z zapłakanémi oczyma cieszyła Józefinę, która na pół obłąkaném okiem żegnała rodziców.

»Nabierz odwagi moje dziécię, nasza miłość i nasze błogosławieństwo będą ci towarzyszyły do Francyi.«

Ojciec blady i pomieszany tulił ją w niemej boleści do swojéj piersi i okrywał ją pieszczotami, lecz gdy już nadeszła chwila odjazdu, przeświadczony, że dopełnił powinności ojcowskiéj, starając się o dobro swojego dziecka, osuszył z łez oczy, a dawszy ostatnie pożegnanie, złożył ją w ramiona służebnych Indyjanek, które ją na pół omdlałą ku okrętowi niosły. Nim wstąpiła na pokład, zdawało się, że odzyskała siły i przytomność, wyrwawszy się z ramion służebnic, rzuciła się na ziemię, a całując ją namiętnie, wołała w dzikiéj rozpaczy:

»O rodzinna ziemio moja, już cię więcéj nigdy — nigdy nie obaczę! O, zawsze, zawsze będą moje oczy ku tobie zwrócone; niech się inne niebo wysila na wdzięki, ty mi zawsze zostaniesz najdroższą, boś ty moją ojczyzną!« To mówiąc, rozpostarła ramiona, jak gdyby tę pół-kulę świata, na któréj zrodzona, objąć i z sobą na pokład okrętu unieść chciała; łez strumieniem spłakały jéj oczy.

Powstawszy, zawołała śród łkania i płaczu: »O, weźcie mię ztąd, weźcie, ziemia pali się pod mojémi stopami!«

Zaniesiono ją na pokład, okręt rozwinął żagle, a młodą Kreolkę, oddaną niepewnym losom, poniosło morze na drugą pół-kulę świata!

Po długiéj podróży przez ogromne wód przestrzenie, okręt zawinął nareszcie do przeznaczonego brzegu, a ztąd udano się do nadsekwańskiéj stolicy. Tu, poślubiła Józefina pana Beauharnais śród najświetniejszych festynów. Z tego małżeństwa było dwoje dzieci, książę Eugenijusz, obdarzony równie szlachetnym jak dzielnym charakterem, i piękna Hortenzyja, późniéj królowa Holandyi... Lecz nie wyprzedzajmy rzeczy i wróćmy w koléj czasu.

Eugenijusz i Hortenzyja byli jeszcze dziećmi, gdy zaświeciła krwawa łuna rewolucyi w roku 1793. Oboje rodziców wzięto do więzienia, ale Józefina wkrótce odzyskała wolność.

Pewnego dnia, gdy stroskana małżonka niespokojném okiem przebiega listę skazanych ofiar, wydaje nagle okropny krzyk boleści, upada na ziemię bez zmysłów — jéj małżonek, książę Beauharnais — już nie żył, skończył pod gilotyną!

W kilka lat potém Józefina zaślubia Napoleona i zasiada z nim na piérwszym tronie świata.

Był czas, kiedy posadą nowego, wszechwładną prawicą Cesarza stworzonego tronu, podziemna wstrząsała burza. Groźne stronnictwa podniosły buntownicze głowy. W samém sercu Francyi, w Paryżu gorzało ognisko rewolucyjne, z którego płomienie mogły uderzyć aż do wysokości tronu. W nocy dawały się słyszeć tajemnicze hasła; burzliwe mowy rozżarzały utłumiony pożar, pieśń rewolucyjna zażegała pomstę za przelaną krew Bourbonów. Śród tak groźnéj, podnoszącéj się na widnokrąg burzy, podwojono wszelkie środki bezpieczeństwa; na wszystkich punktach zaostrzono czujność, z rozkazu Cesarza wzięto na żołd śpiegów.

Trwoga wstąpiła w serca wszystkich mieszkańców, wszelka ufność lękała się zdrady, podsłuchów. Za lada wyrzeczone słowa otwiérały się ciężkie wrzeciądze więzienia. Kto się poważył mówić o przedmiotach politycznych, nad tego głową zawisł miecz zdrady stanu.

Byłato epoka siejąca postrachem po całéj Francyi. Nie było dnia, w którymby nie wtrącano do więzienia całkiem niewinnych, nie wdawających się w politykę; nie było

chwili, w któréjby się nie dopuszczano krzywd najcięższych. Osierocone rodziny, prawem konfiskaty z majątku wyzute, musiały częstokroć brać za kij pielgrzymi i uchodzić w ziemie obce.

W wydawaniu takich wyroków nie pytano się bynajmniéj o słuszność, nie śledzono prawdy, nie szukano dowodów. Takiemu losowi uległa rodzina Lajolais. Głowa jéj, ów Lajolais, były jenerał pod Ludwikiem XVI., mąż prawy, chociaż do losu nieszczęśliwego króla szczerze przywiązany, patrzył jednakże spokojnie na krwawe przemiany rządowe, nie występując na tę widownią, na któréj gilotyna piérwszą odgrywała rolę. Ale mimo tę jego obojętność na to wszystko, co się w około niego działo, złość przedajna nie omieszkała go jednakże dosięgnąć w domowém zaciszu. Oskarżono go o zamach na życie Cesarza i nie szukając wiele dowodów, wtrącono do więzienia, gdzie wkrótce usłyszał wyrok śmierci. Nie mając nic sobie do wyrzucenia, nie skarząc się na srogie z nim obchodzenie, zdał się na wolę losu, i spokojnie oczekiwał téj chwili, w któréj miał pożegnać na wieki swoje rodzinę! To jedynie boleśnie raniło mu duszę, że jego małżonka i dziesięcio-letnia córka, również jak on do więziennéj wtrącone ciemnicy, zostaną sierotami, bez opiekuńczéj ręki! Tą myślą o swojéj rodzinie zajęty, nie zaniedbał usprawiedliwiać się przed swoimi sędziami, a nawet, gdy wyrok wydano, uciekać się do łaski Cesarza, lecz gdy prośbę jego odrzucono, i gdy nawet na domiar bezprzykładnego okrucieństwa, nie dozwolono jako ojcu, i téj smutnéj pociechy, aby się po raz ostatni pożegnał z najdroższémi mu istotami, wzniosłszy oczy w niebo zawołał uroczystym głosem: »Niech się dzieje wola nieba, tam się znowu obaczymy!«

Za kilka dni miano przystąpić do spełnienia krwawego wyroku. A kiedy jenerał Lajolais odważnie oczekiwał chwili, w któréj miał podać głowę pod ostrze gilotyny, wiadomość ta przedarła się do więzienia, w którém małżonka jego i córka jęczały. Krwią zapłynęło serce obojgu! Wielkoduszna Aurelija, córka jenerała, zajęta jedynie myślą wybawienia ojca, uchodzi z więzienia, i mimo wątłe, dziecięce siły, przebiega ulice Paryża, usiłuje się przedrzéć do pokojów cesarzowéj, o któréj dobroci i tkliwem sercu, tak wiele się nasłuchała. Ale niestety, przystęp wzbroniony, straż ją odpycha! Nadaremnie załamuje ręce i błaga zaléwając się łzami; głos miękkiéj, dziecięcéj prośby, odbija się bezskutecznie o zimne jak żelazo serca.

Upadając już pod ciężarem cierpienia i oddając się okropnéj rozpaczy, ostateczność sprawia w niéj zmianę: jakieś natchnienie uzbraja w niéj odwagę; prawie nadludzką siłą dźwiga zwątpiałego ducha i mówi z śmiałem postanowieniem, które w ustach dziécięcia dziwne miało brzmienie: »Nie, nie! To być nie może! Ojcze mój, ty nie umrzesz! Nie dam ci umrzéć, choćbym miała życie twoje okupić mojém.« To rzekłszy, staje jakby nieruchomy posąg w pobliżu cesarskiego pałacu, gubi się w myślach, szuka w nich sposobu uratowania nieszczęśliwego ojca; na jéj bladéj, głębokim smutkiem ocienionéj twarzy maluje się na przemiany to nadzieja to rozpacz; już widzi, jak się więzienne otwiérają kraty, jak swe ramiona oplata w około szyi ojca, to znowu obraz się zaciemia, widzi rusztowanie, widzi, jak się krwawe ostrze gilotyny w górę dźwignąwszy, na dół piorunem leci — strumień krwi bryznął... niemoc owładła jéj wszystkie zmysły, na pół martwa skłania się ku ścianie muru, pod którym stała. Nagle turkot powozu budzi ją z téj śmiertelnéj martwoty, podnosi oczy i widzi poszóstny pojazd cesarzowéj w całym rozpędzie. Jakby iskrą elektryczną uderzona, zbiéra wszystkie siły, i spojrzawszy w niebo błagającém okiem, nie zważając na własne życie, rzuca się przed konie i woła głosem rozpaczy przebijającym niebiosa: »Przez Boga! Litości! Ja muszę mówić z cesarzową!« — Woźnica tym widokiem przerażony, wstrzymał konie, wszyscy obecni byli zdumieni tém nieustraszonéм męztwem, z jakiém szła naprzeciw widocznéj śmierci. Józefina ochłonąwszy z przestrachu, wezwała ją słodkiémi wyrazy, aby się zbliżyła, i wzięła ją z sobą do powozu; konie pognały do cesarskiego pałacu. Gdy się Aurelija na pokojach cesarzowéj ujrzała, rzuciła się śpieszno na kolana i z łkaniem żebrała o życie ojca:

✱

»Łaski, łaski najjaśniejsza pani! Łaski dla najnieszczęśliwszéj córki! Z moich ramion wydarto mi najlepszego, najdobrotliwszego ojca, chcąc go okrutnie zamordować! O, najjaśniejsza pani, ty znasz uczucia dziécięce, ulituj się nieszczęśliwéj córki! Ja ojca mego tak kocham, tak niewymownie kocham — a oni, ci okrutni, chcą go ze mną na wieki rozłączyć! O, tyś wzorem dobroci, cały świat mówi o tém; wróć mi mojego ojca, wróć mi go najdobrotliwsza pani, a Bóg ci to niewysłowioném szczęściem nagrodzi, gdyż dozgonne łzy moje będą się modliły za ciebie!« — To rzekłszy, owładnięta boleśném uczuciem, zwiésiwszy głowę na piersi, zaczęła płakać rzewnémi łzami, nie mogąc już ani słowa wyrzéc więcéj.

Śmiałe, bohatérskie poświęcenie się dziéwczyny i jéj rzewna prośba, przejęły do żywego tkliwe serce cesarzowéj. Kazała jéj powstać i zapytała ją łagodnym głosem: »Jak się nazywasz moje dziécię, i kto jest twoim ojcem?«

»Imię moje Aurelija, a mego ojca...« dodała z przytłumionym westchnieniem, »jenerał Lajolais.«

Józefina starając się ukryć łzy, które jéj ta rozczulająca scena dziécięcéj miłości wycisnęła, stała przez chwilę w głębokiém zamyśleniu, poczém jakby ocknąwszy się, przystąpiwszy do niéj, i wziąwszy ją za rękę, rzekła z anielską łagodnością: »Uspokój się moje dziécię, kto ma taką, jak ty dobrą córkę, ten nie może być występnym. Twój ojciec godzien wolności! Ty sama zacna córko, zaniesiesz mu tę radosną wiadomość.« — Przy oświadczeniu tak szlachetnego wysokomyślnego zdania, nie pomyśliła cesarzowa, że tak nagły przeskok z rozpaczy do radości, może wstrząsnąć całą istotą młodéj dziéwczyny. Zaledwie usta cesarzowéj te uszczęśliwiające wyrzekły słowa, już lice panny de Lajolais pokryło się śmiertelną bladością, głos skonał na jéj ustach, wstrząsła okropnie członkami, i dostawszy napadu konwulsyi, padła jak nieżywa na ziemię. Po tak gwałtowném wstrząśnieniu nastąpiła długa chwila omdlenia, lecz przy pomocy saméj Józefiny, jéj córki Hortenzyi i dam przybocznych, zaczęła znowu przychodzić do siebie. Skoro się trochę opamiętała, cichym szeptem rzekła: »Gdzieżeś mój drogi ojcze?« a powiodłszy okiem w około siebie i zebrawszy w pamięć co się stało, zawołała z uniesieniem: »O, niewysłowiona radości! Ja ci zaniosę wolność mój najdroższy ojcze, zdéjmę ci ciężkie kajdany, twoja córka piérwsza zawiśnie na twojéj wolnéj piersi!«

Tą uderzona myślą, chciała się zerwać i lecieć, lecz osłabienie przykuło ją do miejsca.

»Uspokój się, zbierz siły«, rzekła jedna z dam, »za godzinę obaczysz twego ojca.«

»Za godzinę?!« skrzyknęła Aurelija z boleści. »Już widzę topor nad głową mego ojca, a za godzinę dopiéro mam go ujrzéć, za godzinę—! Ach, jakże okropną byłaby ta godzina! okropna dla mnie, okropna dla mego ojca... o Boże nieprzebranéj łaski, nie dopuszczaj takiéj godziny!« To rzekłszy, zwracając się do cesarzowéj, błagała głosem rozpaczy: »O, łaski najmiłościwsza pani! Pozwól mi, niech w téj oto chwili zaniosę życie mojemu ojcu, on tam walczy z śmiertelną trwogą, a ja...«

»Niech i tak będzie moje lube dziécię, a wpan panie Lavalette«, rzekła do jednego z adjutantów Cesarza, »wpan będziesz jéj towarzyszył.«

Aurelija zalana łzami radości, padłszy do nóg Józefiny i oświadczywszy jéj niewysłowioną wdzięczność swoję, nie mogła się doczekać téj chwili, kiedy powóz zajedzie. — Wybiegłszy na dziedziniec, tém większéj doznawała niespokojności; niecierpliwém wejrzeniem nagliła woźnicę do pośpiechu. Nareszcie usiadła z panem Lavalette do powozu, który lotem błyskawicy pognał przez ulicę Paryża. W kilku chwilach byli już daleko od Tuileryjów. Aurelija blada, wpatrzywszy się w drogę, którą do więzienia jechali, biegła myślą naprzód, pierś jéj pracowała nieustannie, jakby nie konie, tylko ona powóz ciągnęła! Nic nie widziała, tylko drogę przed sobą, nic nie słyszała, tylko bicie swego serca i jęki ojca, które jéj z dala dolatywać się zdawały. Pan Lavelette przerażon trupią bladością jéj twarzy, nadaremne czynił pytania, żadnéj nie otrzymał odpowiedzi.

Nareszcie powóz się zatrzymał. Nim Lavalette zdołał wysiąść i podać Aurelii rękę, już ona była na stopniach powozu, już była w bramie więzienia, a biegnąc długiémi kurytarzami i raz po raz powtarzając drżącym głosem: »Ach, tylko prędzéj, tylko prędzéj«, wyścignęła i pana Lavalette i dozorcę więzienia. Stanąwszy przed drzwiami, które jéj ojca zamykały, nim odsunięto rygle i zamek otworzono, ziemia paliła się pod jéj stopami, jéj niecierpliwość doszła ostateczności, odchodziła od zmysłów, wołając: »Ach, przez Boga, prędzéj, prędzéj!« Gdy się drzwi już otworzyły, jakby zmysłów pozbawiona, rzuciła się ojcu na szyję i wołała ze łkaniem urywanym głosem: »Ojcze — ty żyjesz — cesarzowa — łaska —« Więcéj mówić nie zdołała, słowa umarły jéj na ustach. Jenerał Lajolais widząc te oznaki gwałtownego wzruszenia, sądził, że już przyszli prowadzić go na śmierć, i że córce się powiodło ubiedz z więzienia, aby ostatnie otrzymała ojcowskie błogosławieństwo,

lecz pan Lavalette nie dał mu długo zostawać w téj trwodze, i opowiedział wszystko; mówił z uniesieniem o rzadkiém, bohatérskiém poświęceniu się Aurelii.

Tu nastąpiła scena najrzewniejsza. Aurelija objąwszy ramionami ojca, cisnęła go tak serdecznie do swéj piersi, jak gdyby w nie wrosnąć chciała. O, jakże teraz była szczęśliwą, całe niebo radości napełniało jéj duszę! Łzami radości toczyła się rozmowa z obojéj strony. Wielkomyślna, szlachetna Józefina dla dopełnienia szczęścia rodziny, nie zapomniała i o matce Aurelii; za jéj wstawieniem się natychmiast wolność odzyskała. Co się w sercu Aurelii działo, gdy się w ramionach i ojca i matki ujrzała, na to wszelki wyraz za ubogi, to tylko ci uczuć i opowiedziéć zdołają, którzy podobnie jak ona, tak ciężkiéj straty blizcy byli, a wolą opatrzności i wytrwałém poświęceniem się, na tak wysokim stopniu szczęścia, niespodziéwanie stanęli!

DWA USTĘPY
Z ŻYCIA NIEZNANEGO WIESZCZA.*)

Methinks I see... Where?
—In my Mind's Eye.
Shakespeare.

Miałem dziwny sen, może i nie całkiem senny.
Ciemność
Z Bajrona.

I.

Zégar północ uderzył — dźwięk spiżu daleko po czystém rozległ się powietrzu. Ulice były puste, mróz trzaskający. Zwolna, w oknach ozdobnych kamienic, światła gasnąć poczęły; w niektórych tylko jeszcze pałacach, rzęsiste oświetlenie wesołe owidniało zabawy, i znów gdzie niegdzie ponuro paląca się lampa albo cienka świeczka na trzeciém lub czwartém piętrze, albo na samém poddaszu, świadczyła, że tam *nędza* ma swoje schronienie — *nędza* skracająca chwile spoczynku dla zarobienia skromnéj żywności na jutro!... Szczęście i niedola, biéda i zbytek, jakżeżto blizko i często z sobą graniczą!

W jedném z owych lichych mieszkań na poddaszu, także się jeszcze świéciło: w małéj izdebce, w któréj wzorowy porządek i czystość najwyższego nie pokryły ubóstwa, siedziała kobiéta młoda w lata, lecz gorżkiém doświadczeniem starsza od najsędziwszych; chorobliwa bladość pokryła jéj lica, usta okolił wyraz ciérpki — wyraz oznaczający boleść wewnętrzną; czasem mimowoli uleci westchnienie — jestto odgłos zakrwawionego serca! — Ona szyciem zajęta, lecz skrzepłe od zimna ręce, zaledwie zdołają igłę utrzymać — łzy, wzrok jéj zacieniają — biédna! to ociéra powieki, to z troskliwością, jaka tylko serce matki ożywiać może, spogląda na łóżeczko, gdzie mała dziéwczynka snem niewinności się krzepi.

Przy dużym, papiérami zasłanym stole, pisze mężczyzna — i on młody jeszcze, lecz i na jego czole ciężka troska swoje wyryła piętno. Na zaklęsłych licach suchotny połyskuje rumieniec — tętna jego drżą gorączkowo, ale zwiędłe usta umiła uśmiéch, w wielkiém, czarném oku, jaśnieje spokój — odblask jego pięknéj duszy — Ktoby go teraz ujrzał, wyrzecby był zniewolony: ten człowiek z cnotą zawarł przymierze! — w tém sercu jedynie szczytne mieszkają uczucia, jego szlachetna dusza pragnie tylko szczęścia swoich braci!.... — Ręka wychudła szybko po szarym posuwa się papiérze — a jednak zaledwo część setną wzniosłych myśli pochwycić zdąży; myśli, które w jego głowie najobfiszém krążą bogactwem; myśli, które pierś jego rozsadzają, któreby wystarczyły na uszczęśliwienie całego rodu ludzkiego!... — On tak szczęśliwy w tę chwilę — on się od ziemskiego oderwał świata: przeniósł się w krańce szczęśliwszéj przyszłości!.... zapomniał na chwilę o nędzy!.... On marzy — wzlatuje — nieba swą duszą dotyka!..... rysy jego z każdém tętna uderzeniem większym osłaniają się blaskiem — ręka drży coraz bardziéj — coraz się śpieszniéj posuwa — oczy nadziemskim iskrzą się ogniem — serce bije gwałtownie — boskie natchnienie owiało całe jego jestestwo: była to święta chwila *poety!*......

Śpiéw do ludu gotowy!... wieszcz powrócił na ziemię — lecz uśmiéch rzewnéj radości nie uleciał z oblicza. Niebiańskim wyrazem oka przebiega to, co chyżą ręką nakréślił — pierś jego niewysłowném wznosi się uczuciem!... Lecz powoli odblask wewnętrznéj rozkoszy poczyna znikać z rysów — cień żalu zaléga czoło — wieszcz kurczowo ściska dłonie.

»Oni to wezmą jako towar zwyczajny!..... ja kupczyć muszę lubémi dziećmi uroczych chwil natchnienia!.... oni przetrząsać niémi będą!..... Ach muszę, muszę je rzucić na pastwę świata, pod sąd płytkich nieraz umysłów, które mnie nie zrozumieją, nie odczują myśli moich!... Oddam je za garść podłego kruszczu, ażeby zań kupić chleba dla zgłodniałéj rodziny!.....« — i nieszczęśliwy zakrył twarz dłońmi pałającémi.

Po chwili odsłonił zasmucone oblicze — począł składać papiéry — w miejscu pięknych rymów kréślił liczby — i znowu poczęły się rozjaśniać jego rysy.

---

*) Z pisma czasowego warszawskiego: *Przegląd naukowy.*

»Będzie dziesięć arkuszy druku!... O, moja Maryjo! i ty luba, maleńka dziecino! już wam zimno, już wam głód nie dokuczy!« — Załzawiły się oczy jego... Kiedyś było lepiéj!... niezaprzeczone w społeczeństwie miejsce i obfity dostatek jednały przyjaciół, uprzyjemniały dzień każdy—*nie znano dlań nagany, bo ta się tylko na świecie dla nieszczęśliwych przeznacza!—Wszystko* znikło!... szczęśliwa przeszłość znikła w ziemskiéj kolei—pozostały cierpienia!... Ale te cierpienia są niezasłużone.... to tylko Bóg, dzieci swoich doświadcza!.... Poświęcenie się dla dobra współbraci, sprowadziło niedolę i nędzę! Bóg to widział, i Bóg też udręczenia usunie i piękne czyny nagrodzi!.....—Rzewna radość osłoniła znowu lica *poety:* te marzenia o szczęśliwéj zmianie losu, wlały pociechę w duszę wyłącznie szlachetnym przystępną uczniom—w duszę gorejącą ufnością i wiarą.

II.

Zciemniło się zupełnie—Maryja chora od kilku tygodni podniosła się z ostatniém niemal wysileniem, i potem oblana, gwałtowną trawiona gorączką, zawlokła się do łóżeczka niebezpiecznie słabego dziecięcia. Uklękła, — pochyliła się nad najmilszém szczęściem swojém na ziemi!... Oddech dzieciny był ociężały—twarzyczka blada—powieki przymknięte: byłże-to sen lub stan znaczniéj słabości?—biédna matka nie umiejąc tego rozróżnić, pochylona nad dziecięciem każde jego tchnienie chwytała. Okropna obawa zaległa jéj łono — a Stefan, mąż jéj nie powracał!..., on poszedł po lékarza — zabrał ostatnią suknią, ażeby ją na lékarstwo spieniężyć—i tak długo nie wracał!

Niedola biednéj rodziny do najwyższego doszła stopnia. Stefana ominęła nadzieja—ach, tak błoga nadzieja!—polepszenia bytu drogich mu istot: księgarze zatrzymawszy jego utwory, od dnia do dnia odwłóczyli stanowcze wyrzeczenie, w ówczas gdy Maryja i jéj dziécię z niedostatku i ztąd wynikłéj choroby, z dniem każdym więcéj do grobu zdążały! — potém mu zwrócili rękopisy: bo jego imię wcale nieznaném było. Nadto pan X.—któremu się niegdyś udało kilka niezłych napisać wiérszyków — wydał niedawno trzy tomy swoich *Poezyj* w dwóch tysiącach egzemplarzy; o tychto poezyjach po wszystkich mówiono salonach, w dziennikach wiele o nich pisano, — każden księgarz znaczną ilość zakupił — pocóż mu zatém było nabywać *jakieś tam* wiérsze nieznajomego człowieka!.... o którym, zapytany pan X. wcale nie pochwalne wyjawił zdanie. — Może kiedyś utwory pana X. lichemi nazwą ramotkami—ale dzisiaj, on jest ulubieńcem wielkiego świata—dzieckiem szczęścia! — do niego więc i sława poety należy! — pamięć Stefana chyba się późniéj uwieńczy....

Niewysłownie dręczona różnemi przypuszczeniami, podniosła się Maryja z ciężkością, i chwiejąca się z osłabienia wyszła do drugiéj izdebki; otworzyła okno i wychyliła się na ulicę, wązką i ciemną: Stefana ani widać ani słychać nie było.... Onaby już z oddali poznała odgłos jego stopy!.... Owiana nagle styczniowym wiatrem — pot się zmroził na jéj czole — lecz Maryja ciągle patrzy i słucha czyli Stefan nie nadchodzi. Śnieg począł padać, popruszył jéj głowę—drżała z zimna i niepokoju — ścisnęła skrzepłe ręce— suche oczy wzniosła ku niebu: było szaremi zakryte chmurami—żadna nie przyświécała gwiazda, tak jak nieszczęśliwéj żaden połysk nadziei nie jaśniał! — Śnieg coraz gęstszémi leciał płatami—wiatr się wzmagał—Maryja znowu natęża ucho... posłyszała tylko wesołe biesiadników odgłosy!.... Jękła — ugięły się pod nią kolana — upadła na ziemię, głową uderzając o przymurek okna — lecz nie czuła bolu, i dopiéro gdy śnieg na jéj czole w wodę zamieniony po wynędzniałém spłynął licu, ocknęła się, i z wydobyciem sił ostatnich, powróciła do chorego dziecięcia. Przytuliła się do wezgłowia maleńkiéj i z rozpaczą przycisnęła ręce do piersi — Ach! ona już się modlić nie mogła!...

Niezadługo lekkie kroki rozległy się po wschodach — zmierzały prosto ku drzwiom: to tylko świadomy miejsca mógł tak bez zatrzymania się po ciemnych zakątkach do tego biédnego trafić mieszkania!... Czemuż Maryja nie słyszała, że to Stefan nadchodzi?

»Nie zastałem lékarza, dla tego tak późno powracam. Lékarstwo, które dzisiaj rano zapisał, przyniosłem z sobą... Maryjo czy słyszysz?«

Lecz Maryja nic nie odpowiada — Stefan pochyla się ku niéj: zimna jak lód!... nieszczęśliwa zemdlała!... jednak po chwili wróciła znowu do życia, ażeby cierpiéć na nowo!....

Stefan ją zaniósł na łóżko i kroplami orzeźwił—usiłował pocieszyć jéj umysł, zapewniając, że lékarz niebawem nadejdzie.

Przyszedłszy cokolwiek do siebie, Maryja ujęła lékarstwo i wsparta na ręku Stefana znowu uklękła przy łóżeczku drogiego dziecięcia..... rączki jego zimne... główka... całe ciało zimne... matka się pochyla—przytyka w niemej rozpaczy ziębnące usta swoje do skrzepłych usteczek maleńkiéj... dziécię żadnego już nie wydaje tchnienia: anielska duszyczka powróciła do niebieskiego Ojca!...—Maryja zawrzasła—ach! pierś, z któréj się taki jęk wydobędzie, pewno już nigdy innego głosu nie wyda!... Maryja martwa upadła na ziemię: matka nie przeżyła swojego dziecięcia!...

Stefan wziął ją w swoje objęcie — przycisnął do piersi — wyrył pocałunek na zmienionych śmiercią ustach — było to ostatnie pożegnanie!... Potém ją położył — obłąkanym wzrokiem chwytał nieruchome, lecz jeszcze piękne rysy....... i rozśmiał się!......

Wiatr silny uderzył śniegiem w szyby — zabrzękły — licha lampa zaskwierczyła rzucając dogorywające światełko... Przed oczyma Stefana dziwne, straszliwe poczęły snuć się widma — każde z nich świszczało przeraźliwie — w ręku trzymały kości, trącając jednę o drugą.... Ten miał czaszkę z ołowiu, ten serce z granitu dyjamentami osadzone; ten na nagich kościach piersi pozawieszał krzyże brylantowe — tamten kładł na opadły z ciała palec wielki sygnet herbowy, a pierścień spadał mu co chwila — i wszyscy się śmiali, sykali i tańczyli — a każda larwa podobną była do którego z przyjaciół lub znajomych Stefana. — Ten mu obiecywał pomoc swoję, i ściskając go, ostrémi kośćmi rany w piersiach porobił; ten zapewnił, iż los nieszczęsnego wpływami swémi wkrótce zmienić potrafi na błogi, a przypiął się bezustnémi zęby do niego i krew mu z serca wrzącego miłością braci wyssysał; ten mu o *protekcyi* obcą prawił mową, a szponami mózg z głowy jego wydzierał.... Stefan uczuł ból dotkliwy. Pisk się wzmaga i szalony larw taniec — ogniste obręcze krążyły pomiędzy niemi, jaskrawe płomyki pływały w przestworzu — widma okoliły Stefana, i począł skakać porówno z niémi — śmiać się z wściekłością! — ból ustał i lepiéj mu było..... Przesadzali się w ucieszních pląsach, a wszystkim przodował Stefan.... Powoli przecież piekielna *sarabanda* ustawać poczęła — larwy niknęły jedna po drugiéj — świszczenie ustawało, lampa jednym jeszcze płomykiem zabłysła — ostatnim! — z z psykaniem zagasła: ciemność pochłonęła wszystkie przedmioty — głucha nastąpiła cisza. — Po chwili niebieskawe światło oblało ściany — białe obłoczki różanémi przykraszone promieńmi, pływały w około — złoto-włose aniołki wychyliły z nich urocze twarzyczki: jeden był do dziecięcia jego podobny!.... Zbliża się luby posłannik nieba, trzymając wieniec bluszczowy w rączkach — i kładzie go na skronie Stefana... Drobne gałązki dziwnie grzeją go w głowę — palą — wysuszają mózg jego: każden listek — każden mały korzonek, zdaje się być gorącem żelazem.... Ale aniołek się uśmiecha — pochyla ku niemu różane lica — wonny oddech jego chłodzi skronie Stefana — ból dotkliwy ustaje!.... Aniołek się oddala — powraca do niebieskich braci swoich — uśmiecha się ciągle — wyciąga ku niemu rączki!... Wtém mgła sinawa osłaniać poczyna wszystko — czarowny obraz usnwa się coraz bardziej — różowe tylko jeszcze żarzy się światło — słabnieje coraz więcej — coraz więcej.... i znika!.... Mignęło coś jasnego w oczach Stefana: niewiasta w śnieżnej szacie! — rzewny wyraz błyszczy w jéj oku — wdzięk niezwykły umila na pół rozwarte usta: zdaje się, iż lada chwila przemówi!.... lecz tylko ręką skinęła..... to jest Maryja!.... jego Maryja!.........

Zastukano we drzwi — wszedł lekarz: przyjaciel ludzkości nie zaniedbał i o tak późnej porze, śród śniegu i zawici, nędzarzy pod strychem odwiédzić; — dziwi się nad ciemnością, która go otacza — woła — nikt nie odpowiada — zbliża się do łożeczka — chwyta dziécię: już ostygło!..... Cofa się z przerażeniem — woła na sąsiadów — przynoszą światło...... smutny obraz przedstawia się oczom jego: matka i dziécię nieżywe..........

Nazajutrz Stefan był w domu obłąkanych.

Paulina z L. W........

LITERACKIE DROBNOSTKI, UŁOMKI, CIEKAWOŚCI, ŚMIESZNOŚCI, FRASZKI I DZIWACTWA, ZEBRAŁ I SPISAŁ D. Z. —

(Ciąg dalszy.)

Herodot pisze, że Homerowi gdy się nad brzegiem morza przechadzał, rybacy zagadkę zadali, a że jéj rozwiązać nie mógł, w smutku życie sobie odebrał. Coś podobnego i o Arystotelesie prawią. Nie mógł on odgadnąć przyczyn wzbierania i opadania morza i rzucił się w przepaść, mowiąc: »Ponieważ ja cię objąć nie mogę, ty mię obejmij.« — Wielkie szczęście, że teraźniejsza czytająca publiczność nie zagłębia się z taką zaciętością w rozwiązanie zagadek, umierałoby więcej ludzi niżeli niegdyś na ospę i morowe powietrze, a rządy byłyby smuszone zakazać autorom pisać tyle ciemnych i zawikłanych niedorzeczności, których nikt zrozumieć nie może.

Pewien autor przy końcu XV. wieku, znalazł w klasyku greckim: ο νους εστι αυλος (dusza ludzka jest bez ciała). Wiedział, że αυλος flet znaczy, a nie przyszło mu do głowy, że może czytać: αὔλος (bezcielesna), i z tego powodu napisał akademiczną rozprawę, piętnastu przyczynami dowodząc, że dusza ludzka jest piszczałką.

Zakonnicom pewnego zgromadzenia w regule przepisany był w czasie oznaczonym powszechny post (*jeûne général*), dokładny tłumacz przełożył te słowa na młodego jenerała.

Imię i nazwisko uczonego Justus Lipsins, przetłumaczył pewny »sprawiedliwy Lipszczanin.«

Poliskryptorów czyli mnogopisców wielu bardzo z dawniejszych naliczyć można; z pomiędzy sławniejszych są: Rajmund Lullo, wydał 400 pism dotąd znanych, nie rachując rękopismów jego, które po klasztornych biblijotekach kryć się mogą. — Hiszpan Lope de Vega, od ziomków swych ogromnym pisarzem nazwany, napisał i do druku podał 497 sztuk teatralnych, podług wyśledzenia nowszych pisarzy, gdyż dawniejsi przypisywali mu 1800 dramatów i 400 duchownych dyjalogów. Pisał on najwięcéj wierszami. Podług dawniejszych liczba wierszów jego wynosiła 21,318,000 późniejsi zredukowali tę liczbę na półczwarta milijona. Ponieważ miał wiele związków i innych urzędowych zatrudnień, to szybkość jego i pracowitość podziwienia godna. Nigdy nic drugi raz nie czytał i nie poprawiał, co raz napisał. — Jana Jakóba Mosera (żył od 1701 do 1785 roku), pism jest około 500 sztuk. — Matematyk Leonhard Euler, napisał 45 wielkich dzieł i 681 drobniejszych rozpraw, umiał na pamięć Eneidę Wirgilijusza, najważniejsze i najzawilsze obrachowania robił bez pisania. — Niemiecki poeta Hans Sachs, napisał 6048 poemów. Rękopisma wynoszą 34 tomów *in folio*. — Z dzieł Jana Calwina oprócz drukowanych, znajduje się w biblijotece genewskiej 2023 kazań w manuskrypcie.

Wiadomo jest jak dziwacznych tytułów używali u nas w Polszcze autorowie w końcu XVII i w początku XVIII. wieku do swych dzieł, ta sama zaraza panowała i w Niemczech, przytoczę tylko dwa przykłady: Pleban w Bawaryi Prambhoffer, wydał w Augsburgu 1710 roku zbiór kazań na poświęcenie kościoła pod tytułem: *Ungesalzenes und ungeschmalzenes doch wohlgeschmacktes Kirchtag-Suppel, bestehend in Vier und Dreissig köstlichen Speisen und so viel raren Beschau-Essen gekocht und vorgestellt den gefrässigen sterblichen Adams-Kindern*

ewig zu leben. — Jerzy Beier, kaznodzieja z XVII wieku, wydał: *Geistliche Schlafhaube mit tröstlichen Sprüchen keil. Schrift zusammengenäht.*

W przeciągu trzech wieków od Albertusa Magnusa do Lutra, znalazło się dwanaście tysięcy autorów, którzy księgi Arystotelesa tłumaczyli lub rozprawy i komentarze na nie pisali.

Jakób Raupius wydał dzieło: *Bibliotheca theologica portatilis*; książeczka ta kieszunkowa, składa się tylko z dziesięciu tomów *in 4to* i jednego *in folio*.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

ZE LWOWA.

Gołąb pożaru, dzieło na dochód pogorzelców Żmigrodu przeznaczone, wyszło z druku i zawiéra następujące artykuły: *Poeta — waryjat*, powieść wiérszem, przez Henryka S.....*.....— *Poezyje* zgasłego zawcześnie dla literatury i kraju Maurycego Gosławskiego.— *Dwaj Zaporazcy*, powieść wiérszem nierymowym napisana przez Franciszka hr. Wiesiołowskiego.— *Stasio*, trajedyja w 4rech aktach, przez Karola Szajnochę — i *Zbiór niektórych poezyj* J. N. Kamińskiego, jako ciąg dalszy *Haliczanki*. Książka ta składa się z dwunastu arkuszy na pięknym papiérze w dużéj 8ce i jest po wszystkich tutejszych księgarniach do nabycia.

Z wielu miar ciekawe *Pisma* Franciszka Wiktora Dmochowskiego, byłego wachmistrza w wojskach pięciu różnych mocarstw, dziś majstra krawieckiego w Przemyślu, wydane na korzyść autora, przez Andrzeja Edwarda Koźmiana, opuściły już prasę. Z przedmowy wydawcy i z całéj książki poznać zacną duszę autora i niepospolity talent, tém większéj godzien zachęty, że sam dziko wyrósł i swoją własną śród różnych przygód życia krzewił się siłą. — Dzięki naszéj publiczności, że tak chętnie szlachetnemu zamiarowi wydawcy w pomoc pospieszyła. Czytając tak liczny poczet prenumeratorów rośnie nam serce, że tak wielu mamy miłośników ojczystéj literatury. Oby nas zawsze podobne zamiłowanie ogrzewało!

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 35. i obejmuje: 1) O rolnictwie i jego kombinacyjach, na rachubie opartych, przez Kazimiérza hr. Krasickiego. (Ciąg dalszy). 2) Krótkie uwagi nad rozprawą: O oczynszowaniu włościan, umieszczoną w 32gim i 33cim numerze warszawskiego Korespondenta handlowego, przemysłowego i rolniczego z r. b. (Dokończenie). 3) O hodowli bydła latem na stajni. 4) Wiadomości czasowe.

Dziennika mód paryskich, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, wyszedł Ner 18. i zawiéra prócz mód, następujące artykuły: 1) Zamek w Normandyi, zdarzenie prawdziwe. 2) Rotszyldowie, przez K. L. 3) Nowości Literackie.

Z Warszawy: *Przeglądu naukowego* numer 23ci zawiéra następujące artykuły: 1) Odpust, Modlitwa, Ostatnia spowiedź szalonego. 2) Kilka legendo-przysłów narodowych (nader ciekawych). 3) Rys historyi i jeografii, przez Jana Majorkiewicza.

Nakładem księgarni Aug. Em. Glücksberga, wyszedł z druku zeszyt piérwszy dzieła: *Historyja Napoleona*, przez Emila Marco de Saint-Hilaire.

Czapka u Polaków. W jakiém poważaniu mają Hiszpanie kapelusz, w takiém była czapka u Polaków. Byłato najważniejsza część ich stroju, na niéj malował się charakter narodu i dusza każdego Polaka, ona wiązała się z całem życiem politycznem jak i domowem. Jeżeli Polak był wesół i ochoczy, to zaraz czapka na bakier wisiała, im był smutniejszym, tém bardziéj czapkę na oczy wciskał. Podczas elekcyi podrzucane w górę czapki, ogłaszały piérwsze nowo-obranego króla. Kto się płaszczył, jak to mówią wyciérał plecy w przedpokojach, mówiono o nim, iż czapkuje, to jest, iż godność czapki znieważa służbistémi ukłony. Stronników różnych partyj, najprzód po czapkach rozróżnić było można. Gdy się kraj do upadku chylić zaczął i zawiązywano konfederacyje, natychmiast i czapki przechrzczono nazwiskiem konfederatek. Osoby słabego charakteru, którzy, jak to mówią, na dwóch stołkach siadali, nosili czapki z dwiema barwami i przewracali je ciągle stósownie do potrzeby.

Abd-el-Kader Kościuszkiem. Pewna angielska gazeta nazywa maurytańskim Kościuszkiem Abd-el-Kadera, który każdą piędź ziemi drogo Francuzom okupić każe, ich podbojom dzielny opór stawi. Jest on (mówi taż gazeta) równie jak Kościuszko mdłéj postaci, średniego wzrostu, melancholicznych oczu, co większa, ma tylko jedną żonę (!).

Żeglarz napowietrzny mimo woli. W mieście Nantes 16go lipca bież. roku miał się niejaki Hirsch puścić balonem. Całe miasto wyległo, aby się przypatrzyć temu widowisku. Już wysłano mały balon na zwiady w górne przestrzenia, aby dopatrzyć prądu powietrza, na którę się stronę zwraca, już gazem napełniono balon, gdy oto nagle, nim jeszcze wszystko do powietrznéj żeglugi przygotowano, wyrywa się balon z rąk ludzi, którzy go powrozami przy ziemi trzymali, zaczépia hakiem o spodnie trzynasto-letniego chłopca w bliskości stojącego i unosi go z sobą. Przestrach obejmuje wszystkich widzów. Lecz chłopiec nie tracąc przytomności, chwyta się powroza zwieszającego się od łodzi napowietrznéj, okręca go w około prawéj ręki, i tak między niebem a ziemią przez siedm minut zawieszony, wzlatuje do wysokości 1,400 stóp, lecz szczęściem balon zaczyna się spuszczać na dół i osiada na polu niedaleko miasta. Chłopiec uszedł nieszczęścia bez żadnego uszkodzenia.

Dzieci Rebeki. Często po gazetach jest mowa o rebekaitach, którzy domy cłowe w Walii burzą. Zkądże ta nazwa? Angielska gazeta odpowiada na to pytanie témi słowy: W piérwszéj księdze Mojżesza, w rozdziale 22gim w wiérszu 17tym mówił Bóg do Abrahama, gdy tenże swego syna Izaaka chciał złożyć na stosie ofiarnym: »A twoje plemię posiędzie bramy twoich nieprzyjaciół.« Plemieniem Abrahama jest Izaak i jego potomkowie, a więc i dzieci Rebeki. Burzyciele w Walii ściągając te słowa: »Bramy twoich nieprzyjaciół« do domów cłowych i rogatek, nazwali się ztąd dziećmi Rebeki.

Pochlebne piérwszeństwo. Londyńska gazeta *Argus* pisze, że dwoje Marquezaúczyków, mąż i żona, płynęło z własnéj woli okrętem do Francyi. Gdy jeden z podróżnych zapytał ich, kogo więcéj cenią, czy Anglika, czy Francuza, odrzekł wyspiarz mlaszcząc ustami: »O, Anglicy daleko są lepsi, bo są tłuści. I kruchsze mają mięso«, dodała z apetytem żona, błysnąwszy dwoma rzędami zębów, które tak były ostre jak kły krokodyla.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.